

Róż, Owidiusz i marlboro

Kilka zastrzeżeń do *Margot* Michała Witkowskiego

Nie co dzień miewa się okazję do pisania na dowolny temat w dowolnej formie. Gratka nie lada, a ja zamierzam okazję zaprzepaścić. Właściwie to się już dokonało, już postanowione: to nie będzie tekst o wybitnej książce, ze wszech miar ważnej, mojej ukochanej, sercu bliskiej. To nie będzie tekst o książce, o której zawsze chciałam napisać. To będzie kolorowa historia: historia różowej okładki i tego, co znajduje się między jej pierwszą a ostatnią stroną – czarnej rozpacz.

Oto fluorescencyjny róż, który powiódł mnie na pokuszenie. Sygnowano: Świat Książki. 32, 90 zł. A oto fotografia ufryzowanego odchudzonego autora, dzierżącego szklanę gorzkiej żołądkowej w jednej dłoni, odpalonego marlboro w drugiej dłoni. Kontestator. Typ ironiczny. Ale ja pamiętam pewną mądrość: *Nie oceniał książki po okładce*. I ja próbuję.

Jest motto i jest Owidiusz, i są Owidiusza *Metamorfozy*. *W nową postać zmienione chcę opiewać ciała...* A potem jest konsternacja, nadzieja, toki myślowe oscylujące wokół przebrzmiałych już nieco kwestii: dobry pisarz – pisarz uniwersalny, odwołujący się do tradycji, podejmujący z nią twórczy dialog... Ale już pierwsze zdanie mówi, że trop trefny. Płaczą driady, płaczą najady. Owidiuszu, przepraszamy za Witkowskiego.

Margot to proza do czytania na szybko i wszędzie; kilka kwadransów i po sprawie. Tempo lektury jest dziarskie – może dlatego, że *Margot* to bełkot. Bełkot wybitny, rekordowy, wulgaryzmem przetykany z gestem iście wielkopańskim i podobno bardzo zabawny. Przeklinać i przestawiać – oto patent; oto dwa filary, między którymi rozpościera się warstwa formalna powieści. Nie żebym zapomniała o tysiącu wykrzykników – są, dla okras. Dla ekspresji. Oczywiście, można rzecz ująć bardziej fachowo – pomówić o stylizacji języka, rozważyć kwestię jego prozaizacji, naśladownictwa potocznego szyku; następnie zastanowić się, czy aby nie mamy do czynienia z imitacją najnowszej nowomowy, będącej kompilacją retoryki tabloidów i gwary środowiskowej, i oszałamiającą operacją na rodzimej mowie w ogóle. Można by.

Apologeci Witkowskiego – zależnie od charakteru zarzutów ze strony czytelników nieprzychylnych – obierają dwie linie obrony. Mówi się więc o tym, że jest to tekst o charakterze czysto rozrywkowym, skierowany do masowego odbiorcy. *Że to tak miało być:*

bez sensu i bardzo śmiesznie. Gdyby przystać na ten optymistyczny wariant, rodzi się pytanie: kim jest ów potencjalny masowy odbiorca *Margot*? Rozkoszuje się lekturą, celebrytuje śmietnik – ale robi to z bezpiecznej perspektywy: perspektywy czytelnika l i t e r a t u r y, a nie, dajmy na to, dziennika niemieckiego wydawcy czy internetowych serwisów plotkarskich? Być może tajemniczy masowy odbiorca wyraża czasem swoje zażenowanie absurdalnymi zachowaniami ociążałych intelektualnie gwiazdek z telewizji. Czym więc miałyby go urzekać Waldi Mandarynka, ich powieściowy reprezentant? Czy taki czytelnik ma chwalić, manifestując tym samym *dystans*, znajomość konwencji, zrozumienie intencji autora, polegającej na kreatywnym przetworzeniu motywu metamorfozy jako chwytu konstrukcyjnego? *Pardon*, tak wygórowanych żądań nie kieruje się chyba do masowego odbiorcy? Kimkolwiek on, rzecz jasna, jest.

Michał Witkowski napisał powieść, która ukazała nie tylko prząsny life style kierowców tirów, ale i tragikomiczną kondycję polskiego show biznesu, północno-wschodnią Polskę jako główną bazę przywar narodowych, oraz – to już chyba w ramach bonusu – historię niepełnosprawnej Asi, która ostatecznie staje się świętą. Umówmy się – słyszeliśmy już o podstarzałych celebrytkach robiących lifting, a także o tym, że pewne grupy społeczne jadły kielbasę za komuny. Słyszeliśmy o instytucji tirówek, a także o porywczym kierowcach tirów. Że jakiś ksiądz zepsuty, ułomny – to się też obilo o uszy. Że ludzie wyjeżdżają do Warszawy robić karierę i robią ją nieelegantcko. Że telewizja kłamie. To jest szokujące? Czy przełomowe?

Jeśli na poziomie treści jest to *naga prawda o naszej rzeczywistości* – i to jest druga wersja wspomnianej wyżej obrony – to mamy do czynienia z beznadziejnie wtórną diagnozą. *Margot* jako zwierciadło polskiej rzeczywistości, *Margot* jako hipertekstualna refleksja, *Margot* jako najprawdziwsza prawda, jako demaskacja, to i tamto, i wszystko, i fajerwerk, i najlepsza książka 2009 roku¹!

Margot miała być w zamyśle literackim policzkiem, rozprawą z tym, co *nasze* i wstydlive – wszechogarniającą tandetą, zaściankowością, prostactwem pewnych środowisk, medialnym fałszem i lansem, pseudonabożnością, i wieloma innymi sprawami. W efekcie – jest pustą parodią, skondensowanym a chaotycznym zapisem takich czy innych ułomności, przejawskrawioną rejestracją. Powieść, wyszydająca dobrodziejstwa popkultury w kraju nad Wisłą, idealnie wpisuje się w przedmiot własnego ataku. Autor nie zabrał głosu, autor powielił. *Margot* to odbitka z podkreślonym kontrastem.

¹ Zdaniem P. Kępińskiego. Recenzja dostępna pod adresem:
<http://www.newsweek.pl/wydanie/1103/metamorfozy-szalonej-margot,42709,1,1>.

Zwykło się mawiać (a przynajmniej Gombrowicz zwykł; Gombrowicz, z którym Witkowskiego *nota bene* nader chętnie się zestawia), że poważna literatura nie daje odpowiedzi, ale stawia pytania. Więc moje pytania po lekturze tych dwustu stron brzmią: 1) No ale co z tego? 2) I dlaczego tak drogo?

Idź w noc, Margot – niewątpliwie jest coś w tym hasle reklamowym – poszło to wszystko w naprawdę niejasnym kierunku. I nie wyszło.

Karolina Kosakowska